

Lesław Tokarski

Pasjonujący sens faktów

Niedawno w „Przeglądzie Kulturalnym” opublikowany został artykuł Andrzeja Kijowskiego, który — jak zwykle ciekawie i z pasją — napisał o nudzie zieleńcej z radia i gazet. Stwierdził on, że powróciwszy z Francji, gdzie kwitnie wielkie dziennikarstwo niesione falą zachodzących tam wydarzeń — zaszokowany był tematyką artykułów naszej prasy. Zdenerwowały go obszerne relacje o pralniach mechanicznych, o źle pracujących kelnerach, psujących się windach i nie zmiatanych chodnikach. Zgadza się, że trudno wywołać w Polsce wojnę kolonialną dla dobra prasy, mimo to jednak proponuje, by zająć się czym innym, niż owe windy i chodniki. Dzieciniejszy bowiem pośrodku świata, który ma ważniejsze sprawy. „Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś spokojna...” — kończy ironizując.

Kijowski przesadza. Nasza prasa nie należy do najnudniejszych na świecie. Trudno też zgodzić się z propozycją, by nie pisać o złamanych poręczach i przedłużających się remontach. Można przypuszczać, że czytelnik nie wybaczyłby dziennikarzom obojętności wobec owych drobnych w porównaniu z wojną kolonialną V Republiki, ale jakże dokuczliwych bolączek. Lecz nie to jest najważniejsze. Trzeba się zgodzić z ogólną tendencją artykułu, warto szukać tematów ważniejszych i pisać o nich z pasją. Ale skąd brać te tematy? Czy szukać ich tylko za granicą?

Bo taki właśnie wniosek sugeruje Kijowski pisząc, że „kraj nasz jest stosunkowo ustabilizowany, życie biegnie tu trochę samo, regulowane działalnością lepiej lub gorzej zorganizowanych instytucji, tak jak powinno być. Nie zagraża nam nic oprócz nudy zieleńcej z radia i gazet”.

Wystarczy choć trochę zainteresować się naszym życiem społecznym by zorientować się, że ono nie jest nudne, by dostrzec naprawę ważne sprawy. Ba, nasze życie jest tak ciekawe, że na Polskę z ogromnym zainteresowaniem patrzą publicyści innych krajów, przyjeżdżający do nas niezrażeni owym brakiem OAS i efektywnego nosa generała de Gaulle'a. Czyż nie są pasjonujące osiągnięcia, jakie mamy do zanotowania w każdej dziedzinie?

Wiele występuje też godnych zainteresowania zjawisk, które muszą

być dobrze rozważone, bo hamują inicjatywę i działalność mas. Taki na przykład problem odrzucania piłęczki. Przedstawiciele samorządu i dyrekcji zakładów krytykują zjednoczenia i resorty, a przedstawiciele różnych wyższych instancji — zamiast zastanowić się nad naprawieniem swych błędów — wytykają niedociągnięcia zakładom. I odwrotnie.

Czyż nie są na przykład pasjonujące sprawy poruszone na zakończonej wczoraj w Poznaniu wojewódzkiej konferencji partyjnej? Osiągnięcia i braki samorządu robotniczego? Kółka rolnicze, które — zdawać sobie z tego trzeba sprawę — są wielkim eksperymentem prowadzącym do nowych rozwiązań w socjalistycznej przebudowie wsi?

Czyż nie nam naprawę w naszym ustabilizowanym życiu nie zagraża? A wypaczanie idei robotniczego współzrządzenia, niewykorzystywanie, nierespektowanie uprawnień konferencji samorządu robotniczego i rad robotniczych! Albo niedbalstwo pewnych pracowników, prowadzące do ogromnych strat... I Sekretarz Komitetu Wojewódzkiego, zagajając dyskusję, mówił przykładowo o beztracie, która spowodowała przesunięcie uruchomienia turbiny o dwa miesiące, co kosztuje nas 100 tys. zł dziennie.

O wielu podobnych, niepokojących zjawiskach mówili dyskutanci na Konferencji, przekazując sprawy nurtujące towarzyszy, którzy ich wybrali na delegatów. Jedni — doświadczeni mówcy — zabierali głos ze swadą; inni — pozornie spokojniej, czasami może nieefektywnie. Przez wszystkich jednak przemawiała wielka pasja gospodarzy, którzy chcą by jak najlepiej przebiegał proces historycznych przemian, jakich jesteśmy świadkami.

Tak więc nie jest „polska wieś” tak spokojna, jak się niekiedy wydaje. Problemów ciekawych jest niemało. Chodzi o to, by mobilizować wokół nich skutecznie niż dotychczas pasję społeczną. Chodzi o to, by dostrzegać pod naskórkiem pozornie szarej codzienności sens wydarzeń znajdujących się w nurcie wielkiego procesu przemian wstrząsających światem; sens faktów, który znajduje — tak, jak ostatnio w Poznaniu — odbicie w pełnych pasji wystąpieniach partyjnych działaczy, który pokazywany jest na łamach naszej prasy, choć może wciąż jeszcze niedostatecznie.

Józef Pieprzyk

Studencki margines

Nie tak dawno przysłuchowałem się poświęconemu naradzie przed stawicieli wszystkich środowisk studenckich Poznania. Spodziewałem się po niej wiele; dyskusja była jednak podobna do rozgrywek ping-pongowych między szermierzami wysokiego poziomu imprez urządzanych przez brać akademicką, a zwolennika mi program minimum. Zawiodłem się jednak, oczekując propozycji pomysłów i nowych — tego wszystkiego, co obiecywać może młodość.

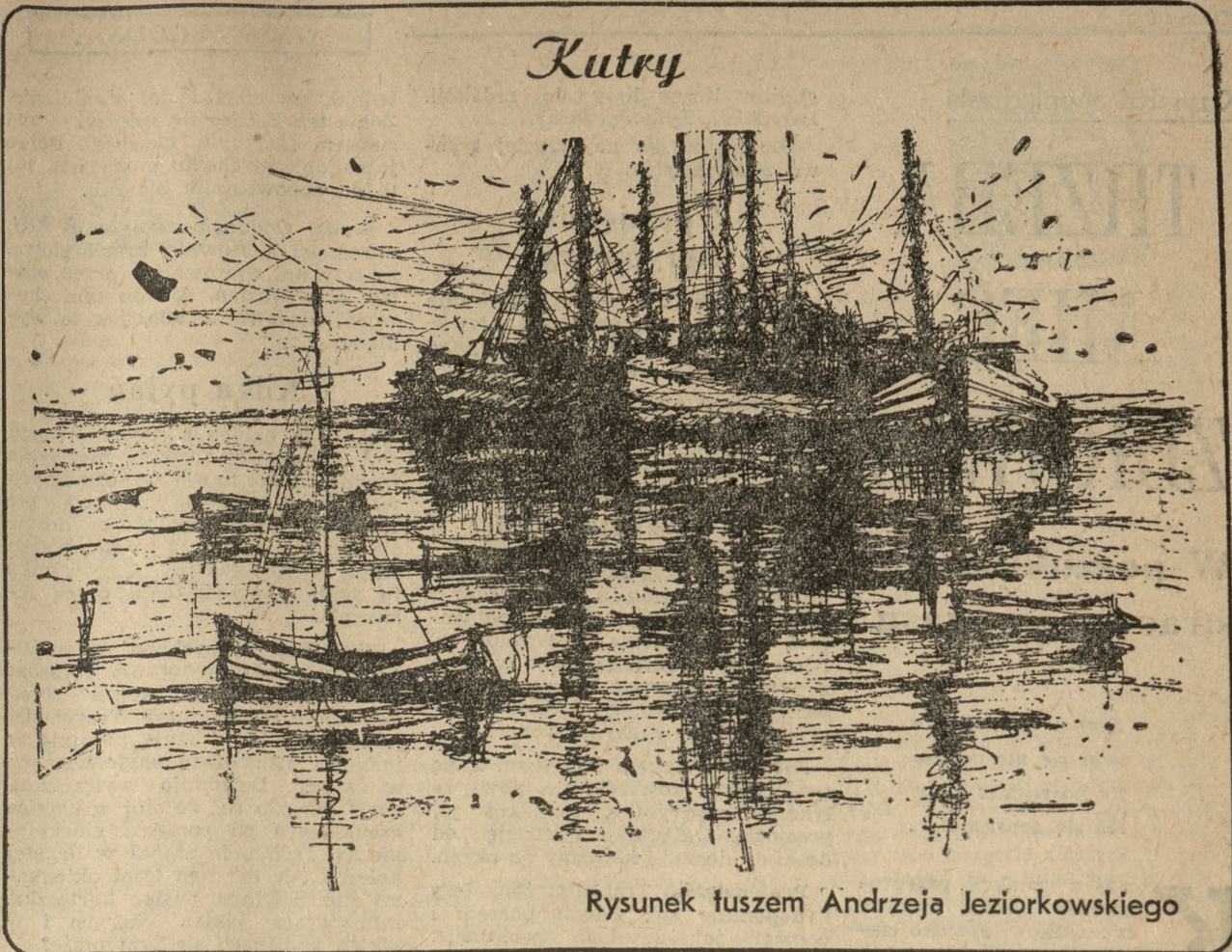
Sąd mój może wydać się niesłuszny. Patrzając jednak na zebranie studentów z odległości kilku nastu lat, które działa mnie od tego środowiska. Wtenczas rzeczpospolita studencka nie była tak liczna, skupiała się głównie przy Uniwersytecie, z którego później wyłoniły się 4 osobne wyższe uczelnie; dzisiaj Poznań liczy tylu studentów, ilu mieszkańców ma Jarocin. A więc rzesza duża, o przeróżnych kierunkach — od technicznych po artystyczne. Nie ma prawie ani jednej dziedziny, która by tu nie była re-

prezentowana. Pomyślmy, jakie wspaniałe istnieją możliwości organizowania życia kulturalnego! Lecz — co ciekawe — według relacji, złożonych na naradzie, największe zainteresowania tym życiem objawiają kierunki nieartystyczne (wyjątek Wyższa Szkoła Muzyczna), najgorzej zaś ta sprawa przedstawia się na Uniwersytecie.

Mała aktywność

Przeglądajmy najpierw warunki materialne dla działalności kulturalnej. Każdy dom studencki ma swoją świetlicę, jest poza tym 9 klubów, są salki, ba — specjalne kino „Kosmos”, które w tym roku zostanie dostosowane do występów estradowych i teatralnych. Działa 11 radiowęzłów (z tego, niestety, tylko część spełnia swoje zadania). Sytuacja wcale niezła.

A jak przedstawia się aktywność zespołowa? Oprócz 9 klubów (działalności klubu „Od nowa” tu nie omawiamy, gdyż rola jego jest specyficzna, stanowi swoisty klubny



Rysunek tuszem Andrzeja Jeziorowskiego

Zbiłut Sęk

Kulisy targowej oferty

Nasze przewidywania wysokości zakupów dokonanych na Targach wiosennych przez handel wielkopolski, potwierdziły się. Hurtownie zakupiły towarów ogółem na sumę około 1,3 mld zł. Biorąc pod uwagę transakcje zawarte także przez handel detaliczny (ponad 200 mln. zł), podane przez nas przed Targami półtora miliarda złotych — zostało osiągnięte. (Przypominamy ogólne obroty Targów — 20,8 mld. zł).

Zakupy hurtu stanowią około 20 procent półrocznej sprzedaży detalicznej w Wielkopolsce. Dużo to, czy mało? Sporo, jeśli uwzględnić, że nie uczestniczy w imprezie wiosennej cały przemysł, że podstawową masę towarową handlowcy kontraktują przede wszystkim na jesieni, a szereg towarów kupują także poza Targami.

Wzrost zakupów widoczny jest przede wszystkim w porównaniu do poprzedniej wiosennej imprezy i wynosi dla hurtu wielkopolskiego 26,6 proc. Podobne wyniki osiągnęły także inne rejony, toteż w targowej „klasyfikacji” nie było niespodzianek: ponownie znaleźliśmy się na piątym miejscu w ogólnej wysokości zakupów oraz ponownie na dziewiątym — w przeliczeniu ich wartości na jednego mieszkańca (511 zł, czyli o 109 zł więcej niż rok temu).

Niepewne porównania

Rezultaty te nie dają jeszcze pełnego obrazu naszego handlu. Dodajmy więc do tego ogólny roczny wskaźnik obrotów w kraju oraz w Poznaniu i województwie. W ro-

ku ubiegłym wynosił on w przeliczeniu na jednego mieszkańca 7396 zł (przeciętna krajowa). Przewidywało się tu Warszawa — 16.265 zł, na drugim miejscu w kraju znalazł się Poznań — 14.267. Gorzej wypadło województwo, bo z rezultatem 6241 zł rocznych zakupów na 1 mieszkańca.

Liczyby te uprzedzają, że nie należy przesadzać w określaniu wpływu Targów Krajowych na stan bieżącego zaopatrzenia oraz operatywności handlu terenowego na podstawie samych targowych transakcji.

A jakości, asortyment zakupowanych towarów? Tutaj znacznie trudniej o wnikliwą analizę. Najwyżej można ją oprzeć na własnych obserwacjach i porównaniach. Na przykład: poprzedniej ekspozycji z tym, co obecnie znajduje się w sklepach. Lecz uważaj! Ostrożnie, łatwo o omyłkę! Docieramy bowiem do kulisy oferty targowej.

Wkraczamy za kulisy

Nie przypadkiem przed Targami pytaliśmy hurt poznański o przewidywaną wysokość i rodzaj zakupów na „Wiosnie — 61”. Chcieliśmy uzyskać lepszy obraz naszych potrzeb i rozeznanie handlu oraz propozycji producentów. Dzisiaj możemy powiedzieć, że handel dobrze na ogół orientuje się w zainteresowaniach nabywców i stara się je realizować. Potwierdziły to nasze ponowne rozmowy już o rezultatach targowych. Niestety, nie będą one

jeszcze chyba takie, jakich oczekują klienci, którzy oglądali ostatnią ekspozycję. Okazało się bowiem, że targowa oferta bywa czasem bez po krycia, że co innego wystawia się na Targach, a co innego produkuje.

Dajmy na dowód przykład odzieży. Kiedy po obejrzeniu pięknej ekspozycji przemysłu handlowcy przystąpili do kontraktacji pokazanych modeli, okazało się, że część kupowanej kolekcji nie będzie produkowana z tych samych materiałów co na pierwowzorach. Przemysł proponował inne, zastępcze, w mniejszym, dotychczas produkowanym, wyborze. Nie trzeba tu chyba wyjaśniać, jak bardzo różni się wygląd sukienki czy płaszcza tego samego kroju, lecz w innych tkaninach.

Drugi przykład: przetwory owocowo-warzywne. Podpisane kontrakty mówiły w zasadzie tylko o wartości zakupów i nieokreślonym bliżej asortymencie. Przemysłowi trudno było powiedzieć na Targach, jakie w tym roku zrobi przetwory, nie może bowiem oszacować przyszłych zbiorów.

I w jednym i w drugim wypadku, transakcje targowe przypominają więc kupowanie kota w worku. Jeszcze jaskrawiej rozbieżności te wyglądają w obuwu. Podobno ostatnia oferta przemysłu skórzanego jest realna i pokazane na Targach wzory w większości znajdują się za pół roku w sprzedaży. Wystawca ten dość jednak napsuł krwi ludziom, żeby mu nie poświęcić jeszcze kilku cierpkich uwag.

Czytelnicy przypominają sobie zapewne wspaniałe modele obuwia pokazane w ubiegłej jesieni. Była to typowa wystawa sztuki bez pokrycia. Okazało się bowiem, że co innego pokazano z frontu, w ekspozycji targowej, dostępnej zwiedzającym, co innego zaś ujrżeli handlowcy za kulisami, na giełdzie, w kolekcji przeznaczonej do sprzedaży. Tego obuwia nie pokazano już zwiedzającym. Można je natomiast obejrzeć dzisiaj w sklepach...

Na ostatnich Targach przemysł skórzany trzeci raz fortelu tego już nie powtarzał. Handlowcy wybierali modele z kolekcji, którą widzieliśmy wszyscy. Dlatego mówi się dzisiaj, że oferta przemysłu skózanego jest realna. Ha, zobaczmy! Choroba „wystawiennicza” ogarnia natomiast przemysł odzieżowy, który jak dotąd, najwierniejszy był obietnicom danym widzom na Targach Krajowych.

Kij ma dwa końce

Nierealność wielu targowych ofert narobiła już sporo złości w opinii społecznej. Dwa razy w roku ćwierć miliona zwiedzających porównała atrakcyjność szeregu ekspozycji, których później nie oglądano na półkach sklepowych. Dwa razy w roku ćwierć miliona ludzi wieszało potem psy na handlowcach, nie dając wiary ich wyjaśnieniom,

tu i ówdzie pęka. Nie widać też rozmachu teatralnego.

Dyskutanci na naradzie mówili dużo o powodzeniu 18 „podwieczorków przy mikrofonie”, przez scenę estradową przesunęło się około 200 wykonawców. Brać studencka śmieje się z własnych przywar, posłucha piosenek, a przy tej okazji poznaje możliwości artystyczne kolegów. Ale na tym koniec.

Czym skorupka...

Przyczyny tego stanu tkwią chyba w liceach i technikach. Maturzyście na wyższej uczelni niełatwo zaprząć się do tej roboty, skoro w niej wcześniej nie zasmakował, nie oswoił się ze sceną, nie poprawił często wadliwej dykcji. Na palcach obu rąk można wyliczyć te średnie szkoły, które do tego rodzaju zajęć przywiązują wagę. Zresztą nie wina młodzieży, raczej nauczycieli, ograniczających się tylko do lekcji, nie „zarażających” uczniów swoją inwencją i zapałem.

Pod tym względem naszą młodzież wyprzedzają inne kraje. Na przykład w ZSRR szkolny teatr amatorski zdobył pełne uznanie, w angielskich szkołach średnich stał się tradycją i nie dziw, że przygotowana już młodzież akademicka

Mur obojętności

Na usprawiedliwienie podać trzeba zajęcia rozrzucone po całym dniu od rana do wieczora, często w różnych punktach miasta, nawał kolokwiów i egzaminów. Student więc w przerwach rozkładu dziennego uczy się, spożywa obiad, biegnie do kina, a wieczorem — w klubie ciągnie powoli piwo, lemoniadę lub kawę, nie mając ochoty do udziału w pracy któregoś z zespołów. Zresztą boi się tego zaangażowania, by nie przeszkadzało mu w przygotowaniu do egzaminów.

To jest tylko jeden z powodów. Inne sięgają głębiej. Klub Miłośników Muzyki Poważnej wyszedł na przeciw studentom z akcją „Pro musica”, która ma na celu zaznajomienie ich i osłuchanie z formami muzycznymi. Szturm trwa, ale napatyka na mur obojętności, który

Dokończenie na str. 3

Dokończenie na str. 4

Krzysztof Monikowski

TRZEBA MIEĆ ZDROWIE

W poszukiwaniu straconego czasu

Szanowne zdrowie
nikt się nie dowie
ile kosztujesz
Aż się zepsujesz...

Która z redakcji przeprowadziła wśród swych czytelników szeroko zakrojoną ankietę, gdzie m. in. było pytanie: jaki zawód zasługuje na największy szacunek społeczeństwa? W czołówce zawodów, wymienianych przez czytelników, znalazł się — obok nauczyciela — zawód lekarza. Ale jednocześnie pod adresem służby zdrowia padają często rozmaite zarzuty, czego dowodem są

choćby liczne listy do redakcji. Paradoxy? Tylko pozorny.

Oto historyjka najbardziej typowa. Nazwijmy ją:

Z pamiętnika zagrypionego

Czwartek. Coś mnie dziś łamie w kościach, czuję się niewyraznie. Iść do lekarza? E, lyknę antygrypinę i jakoś przejdzie.

Piątek. Nie przeszło. Grypa, ani chłoby. Poproszę żonę, gdy tylko wróci z pracy, by pomogła mi uzyskać zwolnienie. Mam bowiem temperaturę i trzeba leżeć w łóżku.

Sobota. Żona była wczoraj w przychodni, lecz po południu lekarz nie przyjmuje. Zostawiła adres. Dziś zwołowała się z pracy i poszła do poradni. Wielu pacjentów, tłok połowa zagrypionych. Niczego nie załatwiła, bo w związku z nasileniem grypy lekarz wyszedł wcześniej na wizyty. Łykam antygrypinę. Żona zaczyna kichać.

Niedziela. Łykam i czekam. Żonę coś łamie w kościach, ale mówi, że łyknę antygrypinę, to jakoś jej przejdzie. Oglądamy telewizję „od deski do deski” i kichamy na ekran.

Poniedziałek. Tragedia: żona leży i dopomina się, żebym poszedł i pomógł jej uzyskać zwolnienie. Czuję się już lepiej, temperatura minęła, przeczytałem jednak artykuł w gazecie, żeby nie lekceważyć grypy. „Żeby chorować trzeba mieć zdrowie” — powiedziała żona. Zgodziłem się.

Wtorek. Wieczorem przyszedł lekarz. Trochę mi głupio, bo już minęło i nie mam gorączki. Lekarz

jednak uwierzył i dał zwolnienie. Żonę też. Bardzo się spieszył — rozumieć go, tylu choruje. Pójdę jutro do przychodni i wypiszę mi to na odpowiednim bloczku.

Środa. Oddałem zwolnienie. Uff, nareszcie! Kierownik kręcił głową, że trzy dni chorowałem przez prawie cały tydzień. Ale on sam chorował niedawno i wie, jak to wygląda.

Kilka pytań

No cóż, epidemia grypy stwarza dla służby zdrowia niezwykle trudności. Ale nawet w normalnych warunkach opisana historia nie wiele się zmieni: po to, by dostać się do lekarza na 10 minut, trzeba tracić długie godziny. Czy wynika to tylko z przeciążenia pracą lekarzy?

W jednej z przychodni zauważyliśmy groteskowy wprost obrazek: dwie kolejki czekających przed okienkami rejestratorów. Przychodzi jakiś dziadunio i staje potulnie w jednej z nich, aż tu nagle wszyscy w śmiech. Dziadunio wytrzeszcza oczy: okazało się, że stoi w kolejce czekających po poradę... ginekologiczną. Dziadunio stanął w drugiej kolejce. Ale czy nad tymi okienkami nie powinna wisieć karteczka, informująca jakich chorych i w jakich godzinach się przyjmuje?

Niedawno remontowano przychodnię ogólną przy Al. Marcinkowskiego. Wywieszona na drzwiach — o dziwo! — karteczka głosiła, że pacjentów tejże przychodni przyjmuje się na pl. Kolegiackim. Tymczasem z pl. Kolegiackiego oddano ludzi z kolei na ul. 23 Lutego. A więc jeżeli już

jest informacja, to dlaczego wprowadzając ją błąd?

Pytanie następne: dlaczego w przychodniach nie wywiesza się informacji o numerze telefonu tejże placówki? Czy rzeczywiście — w XX wieku! — trzeba zgłaszać potrzebę domowej wizyty lekarza osobiście, pchać się wśród chorych, wprowadzając niepotrzebne rozdrażnienie? W warszawskich przychodniach telefoniczne przyjmowanie zgłoszeń na wizyty domowe stało się niemal powszechne. A u nas? Trzeba zwałniać się z pracy, i to na pół dnia.

Kto na tym traci?

Pytania te można mnożyć. Rozumiemy, jak wielkim dobrodziejstwem jest społeczna służba zdrowia, powszechna i prawie bezpłatna. Rozumiemy, jak niełatwe są jej zadania. Oceniamy w pełni wysiłki, zmierzające do rozszerzenia sieci placówek lecznictwa otwartego i cieszymy się razem z pacjentami z każdej nowo otwartej przychodni. Ale jednocześnie nie trudno zauważyć, że problem tak istotny (właśnie z powodu przeciążenia pracą lekarzy) jak sprawność organizacyjna — leży niemal zupełnie odłogiem. Skutek jest taki, że człowiek czeka i czeka, godzina płynie za godziną, na czym traci nie tylko chory i jego rodzina, lecz także gospodarka — my wszyscy.

Dobra organizacja — to połowa roboty. Niestety, ta znana prawda nie znajduje jakoś zrozumienia wśród personelu administracyjno-pomocniczego naszych przychodni.

I to nie tylko w przychodniach. Dlaczego np. niektórych leków nie sprzedają apteki lub nawet kioski „Ruchu”? Czy rzeczywiście, żeby kupić pigułki antygrypowe, trzeba czekać w długiej kolejce w aptece? Przecież niektóre leki gotowe są tak znane, że można by je nabywać bez pośrednictwa przeciążonego pracą farmaceuty.

I jeszcze jedno spostrzeżenie. Wiadomo, ile czasu zajmuje wyceńnianie lekarstw. Jeżeli oiorzymia ich większość jest sprzedawana ze zniżką (na recepty pieczętowane przez Wydział Zarowia), to dlaczego CAS nie domaga się, by na gotowych specyfikach ich wytworzenie drukowały również cenę 33-procentową? Czy aptekarz musi mieć mózg elektroniczny, skoro jego głównym zadaniem jest odpowiednie przygotowanie lekarstw? Czy nie zbyt rozrzuć szafujemy jego wysiłkiem?

✱

Jesteśmy przekonani, że jeżeli zainteresowane instytucje zechcą uważniej spojrzeć na problemy swej niełatwej, odpowiedzialnej pracy, od tej niesłusznie zaniedbanej strony, dojdą również do wniosku, że przy dobrych chęciach można tu wiele usprawnić. Leczenie na pewno może kosztować mniej czasu i nerwów. Bo pod tym względem fraszka Jana z Czarnolasu jest, niestety, jak najbardziej aktualna.

P. S. I jeszcze jeden przykład z przychodni dentystycznej przy Al. Marcinkowskiego, świetnie wyposażonej i zorganizowanej. Pacjentom tej przychodni wyznacza się dokładne terminy przyjęć, co do kwadrans! Nikt więc nie musi czekać. Okazuje się, że można zaoszczędzić czasu, sobie i innym.

Bogusław Kogut

Brzydka zabawa

Dziwne tony zaczynają się pojawiać tu i ówdzie przy okazjach tak zwanych dyskusji o środowisku. Jaki jest ten Poznań? — pyta redakcja stołecznego dwutygodnika literackiego i drukuje parę mniej lub więcej przemyślnych odpowiedzi. Odpowiadający na to nie nazbyt precyzyjne pytanie nie odkrywają, oczywiście, Ameryki. Cóż odkrywczego można po wiedzieć na temat wielkiego i dynamicznego skupiska ludzkiego w kilkunastu zdaniach? Chyba niewiele. Można natomiast tego lub owego obrazić, dostarczyć okazji do swoistej „dyskusji”, w której polemizuje się nie z cudzymi poglądami, ale... z metryką urodzenia i życiorysem. To jest nawet zabawne, obawiam się tylko, że niewiele w tym sensu.

Nie wspomniabym zresztą o tym pleniącym się ostatnio swoistym „rad sposobie”, gdyby ów nawyk wytykania życiorysu i miejsca urodzenia ograniczał się do matych uszczypliwości, do przypinania partykularnych łatek. Bywa jednak gorzej, dużo gorzej.

Oto emigrant z Grecji zadomowił się w Polsce, w polskim języku i kulturze na tyle, że pisze po polsku wiersze. Wydawnictwo wydaje te wiersze, a prze ciętny miłośnik literatury cieszy się na swój sposób, na swój maty prywatny użytek, cieszy się, bo dotąd bywało raczej tak, że Polacy pisali w obcych językach, wzbogacali literaturę innych narodów. Więcej było w naszej historii Conradow i Apollinaire'ów niż — dajmy na to — Krauthofów.

Wiersze naszego Greka mogą być dobre albo złe, jednym mogą się podobać innym nie — to jest oczywiste. Pewnemu młodemu, tutejszemu człowiekowi, który koniecznie pragnie „robić w literaturze”, nie podobają się te wiersze, uważa je za mieszaninę romantyzmu i nadrealizmu. To oczywiście jego dobre prawo. Jednakże młody człowiek nie potrafi uzasadnić swoich krytycznych pretensji inaczej jak... przez metrykę urodzenia poety. Więc tonem pełnym głębokiej ironii wytyka nasz „krytyk” poezie ni mniej ni wię-

cej, tylko że jest emigrantem i jako taki zapatrzył się zgola fatalnie w polską emigrację romantyczną, że sytuacja emigranta uczyniła zeń sentymentalnego gadułę a polonistyczny sposób widzenia decyduje o niestrawności jego wierszy. O utworach z cyklu zatytułowanego „Ateny moje”, w których poeta daje wyraz swojej nostalgii, swojej tęsknocie za utraconą ojczyzną, nasz „krytyk” ma tyle do powiedzenia, że każdy kto zna choć trochę mitologię antyczną, potrafiłby lepiej i ciekawiej tęsknić do Aten, choćby nawet nie był Grekiem. I tak dalej — co zdanie to przytyk, natrząsanie się nie z poezją ale z poety, z jego sytuacji emigranta, z jego „polonistycznej” genealogii i z jego zakochania się w polskiej tradycji romantycznej. To już nie są nietakty, to są wybryki ubliżające wszelkim dobrym obyczajom, wywołujące rumieńce wstydu.

Nie chcę wdawać się w merytoryczny spór poezji Nikosa Chazimikolau'a (bo o nim tu mowa), nie można w żaden sposób polemizować z takimi kryteriami oceny i takimi argumentami, jakie zaprezentował opinii nasz młody kandydat na literackiego krytyka. Chodzi natomiast o to, że dopóki różni — Boże się pożał — teoretycy zabawiają się w szer mowanie metryką twórcy na własnym ciasnym podwórku — można machnąć na to ręką. Ale, jak widzicie, nauka nie idzie w las. Młody człowiek myśli sobie mniej więcej tak: Mogą inni wytykać temu lub owemu, że nie jest „rodowity”, to mogę i ja wytknąć Grekowi to samo. I wytyka. I kompromituje. Siebie przede wszystkim. Ale — czy tylko siebie?

Nikt nie wymaga od młodych ludzi, by im się podobała ta czy inna twórczość poetycka. Ale też nikt nie upoważnia młodego człowieka do obrażania greckiego poety piszącego po polsku. I myśle, że trzeba powiedzieć wszystkim młodym ludziom chcącym koniecznie „robić w literaturze”, że zanim zaczną się „mentorzyć” na temat cudzej twórczości, zanim zaczną się dawać nauki, ferować opinie — trzeba wpięrować się przyzwoitości i taktu. Przecież słowo „kultura”, odmieniane z upodobaniem we wszystkich przypadkach — do czegoś zobowiązuje.

Powyżej zamieszczamy kolejny artykuł z cyklu „W poszukiwaniu straconego czasu”. W cyklu tym — jak zapowiadaliśmy przed tygodniem — zamierzamy ukazać źródła i przyczyny marnotrawienia czasu. Do udziału we współredagowaniu naszego cyklu zapraszamy wszystkich Czytelników. Prosimy o nadsyłanie spostrzeżeń na temat: gdzie niepotrzebnie tracimy cenny czas i co jest tego powodem.

Listy, z których najbardziej interesujące wykorzystamy na łamach „Głosu”, prosimy wysyłać pod adresem: Redakcja „Głosu Wielkopolskiego”, Poznań — ulica Grunwaldzka 19. Autorów 10 najciekawszych korespondencji nagrodzimy bonami książkowymi, wartości 200 złotych każdy.

Hasło „Żołnierz jest obywatelem w mundurze” wysunęła w 1956 r. „Innere Abteilung”, chcąc zdobyć jak największą ilość ochotników dla Bundeswehry. Obecna sytuacja żołnierza w tej armii ilustruje autor przykładami świadczącymi o powrocie do fryderycjańskiego i hitlerowskiego drylu. „Obywatel w mundurze” — podobnie jak przez ubiegłe 200 lat — wrócił do roli pozbawionego praw umundurowanego automatu.

Kiedy przed kilku dniami kanclerz Adenauer wszedł na parlamentarną mównicę i rozpoczął swoje przemówienie od słów: „Ja, stary demokrat...” na ławach tak nawet uległej opozycji, jaką jest Niemiecka Partia Socjaldemokratyczna (SPD) rozległy się chichoty — nie ma bowiem w NRF słowa bardziej wyświechtanego niż nadużywanego niż „demokracja”. Co ono oznacza w ustach Adenauera chyba dość wyrażnie nam wyjaśniły ostatnie „afery” Krolla i Dehlera i nagonka na osmiu najwybitniejszych działaczy protestanckich — autorów sławnego już memorandum krytykującego aktualną politykę Bonn.

Tak jest w polityce. A jak przedstawia się sprawa demokratyzacji innych dziedzin życia społecznego Niemiec zachodnich? Na przykład Bundeswehry?

Przy jej powstawaniu obowiązywała zasada głoszona przez francuską rewolucję: „Żołnierz jest obywatelem w mundurze”. Oficerowie i podoficerowie nowej Bundeswehry mieli zostać starszymi kolegami szeregowców, a nie, jak dotychczas, bogami spoglądającymi z wysokości Olimpu na motłoch „podłych gemaistów”. Szeregowiec miał zyskać więcej swobody osobistej, a na fryderycjańskim drylu, głoszącym, że: „Żołnierz powinien więcej bać się pałki kaprala niż śmierci” — postanowiono ponoć krzyż.

Takie oto hasła wysunęła w 1956 roku Innere Abteilung (służba wewnętrzna), pragnąc zaagitować jak największą ilość ochotników (wówczas jeszcze ochotników) do wstąpienia do Bundeswehry.

Minęło sześć lat. Warto przyjrzeć się, co zostało z tych szczytnych ha-

sel. Odpowiedzi może nam udzielić „Deutsche Soldaten und National Zeitung” jedno z najbardziej agresywnych pism neohitlerowsko-odwetowych, mieniące się z dumą „spadkobiercą i kontynuatorem niemieckiego ducha wojskowego i niemieckiego poczucia narodowego”. Jest to zatem wydawnictwo, którego nie można posądzić o chęć szkolenia Bundeswehry i jej korpusu oficerskiego. Z artykułu „Dziś Zachód w Bundeswehrze?” cytujemy ustępy omawiające stosunek przelozonych do podwładnych, zachowując również „barwne” podtytuły oryginału.

1. „KOPNIAK W SIEDZENIE”

„U pewnego majora Bundeswehry zameldował się na jego rozkaz pijany podoficer, który mimo łagodnej perswazy-

wali mu pistolet, a wreszcie wepchnęli do bagażnika samochodu (...) związali oni swoją ofiarę i wywieźli. Potem złożyli żołnierza na stoku skarpą rozluźniwszy jedynie więzy na rękach, ale pozostawiając go na pastwę losu ze skrzepowanymi nogami. Kiedy wszyscy uczestnicy wrócili do koszar, panował tam wielki zamęt i podniecenie, gdyż jakiś starszy strzelec, będąc przypadkowym świadkiem porwania, wszczął alarm. Wzmocniono warty, zaalarmowano policję i zawiadomiono dowódcę. Napadnięty żołnierz z powodu odniesionych ran został odstawiony do szpitala. Pięciu „cywilów”, którzy brali udział w porwaniu, zidentyfikowano jako wojskowych — trzech podporuczników i dwu starszych sierżantów. Przyczynę swego postępowania tłumaczyli oni chęcią wyprobowania wartownika i środków ochrony”.

Wyda się, że wystarczą te trzy przykłady, aby uzmysłowić sobie, jak dalece odbiegła praktyka od wzniosłych teorii „demokratycznego” stosunku przełożonego do podwładnego. Na leży w dodatku przypuszczać, że opisane wyżej wypadki nie są sporadyczne. Wiadomość o nich w ten czy inny sposób przedostała się na zewnątrz i dlatego prasa poruszyła ten temat. Zapewne znacznie więcej takich „oficer skich zabaw” pozostanie na zawsze „wojskową tajemnicą” poszczególnych jednostek.

Czy wobec faktu ujawnienia tych skandali można się spodziewać, że w Bundeswehrze zapanują tendencje demokratyczne? Raczej nie, sądząc po wypowiedzi cytowanego na wstępie pisma, które uważa, że jedynym lekarstwem na samowolę, brutalność i znęcanie się nie jest jakaś akcja wychowawczo-ucieczna, lecz jak największe zastosowanie dyscypliny i wprowadzenie obowiązku „bezwzględnej ślepego posłuszeństwa” (...i) dawnej pruskiej zasady „Kadavergehorsam” tj. posłuszeństwa nieboszczyka. Rzecz jasna, że taka dyscyplina i automatyzm podwładnego stwarzają jeszcze większe możliwości nadużycia władzy.

Tak więc rzekomo „demokratyczna” Bundeswehra wróciła do tradycji Fryderyka II i Hitlera. Znow zachodnoniemiecka armia dzieli się na nieliczną grupę panów i tłum pariasów. Niemiecki „obywatel w mundurze” jest teraz, podobnie jak to było przez ostatnie dwieście lat, tylko pozbawionym praw umundurowanym automatem.

Włodzimierz Waśkowski

„Najbardziej demokratyczna armia świata”

przełożonego nie chciał wyjść z pokoju. Zdenierowany major siłą wypchnął go z drzwi, przy czym spoliczkował go i kopnął w siedzenie” (23. VI. 1961 r.).

2. „MORDOBICIE”

„21-letni podchorąży Guenter Langkabel, wychłostał w koszarach ośrodka lotniczego w Altenwalde koło Cuxhaven pewnego rekruta za to, że nie przyjął on, leżąc w łóżku, postawy zasadniczej”.

„23 listopada 1961 r. o godzinie 22, po capstrzyku, grupa rekrutów położyła się spać. W czasie obchołu podchorąży inspekcji zobaczył, że pewien dwudziestoletni rekrut leży na brzuchu, a nie na plecach. Podchorąży rozkazał mu odwrócić się do rozkazu. Podchorąży polecił wtedy rekrutowi udać się za nim do jego pokoju, gdzie go kilka razy uderzył pięścią w twarz. Kiedy koleday rekruta weszli do izby zajmowanej przez podchorążego, znaleźli tam kolegę z pokrwawioną twarzą. Obdukcja stwierdziła rany na ramieniu, uchu, wargach i oku...”

3. „ZWIĄZANY W BAGAŻNIKU”

„Działo się to w Nagold (Schwarzwald), gdzie stacjonuje 252 batalion strzelców spadochronowych. Między godziną pierwszą a drugą po północy do wartownika pilnującego składów zbliżył się jakiś pijany cywil. Cywil ten, zresztą bezskutecznie, chciał przepędzić wartownika z posterunku. Wkrótce potem zajął samochód z zaciemnionymi szybami. Z wozu wyskoczyło czterech osobników wyglądających na bandytów, którzy wartownika obezwładnili, wy-

Jan Sońnicki

Zadecydują nauczyciele

Gdzieś w powiecie ostrowskim, kilkanaście kilometrów od stolicy powiatu, leży wieś Gutowo. Jest tam szkoła, z tych najniższej zorganizowanych, o klasach łączonych, takich, w których to na przykład klasy III i IV odbywają lekcje w jednej izbie jednocześnie. Nauczyciel musi zapewnić dzieciom w tym samym czasie zajęcia, jednej klasie ciche, drugiej głośne, obie mieć stale na uwadze, obie kontrolować. Szkoła jest „niższej zorganizowana”, ale obowiązki nauczyciela w istocie rzeczy trudniejsze. Taki sobie paradoks.

W Gutowie jest dwoje nauczycieli, Tadeusz i Lucja, małżeństwo Frąszczakowie. Do procesu nauczania wykorzystują rzutnię, aparat projekcyjny i filmowy, magnetofon, instrumenty perkusyjne w nauce śpiewu, telewizor. W Gutowie, zapaśnicy wsi powiatu ostrowskiego, w szkole „niższej zorganizowanej”. Stosowanie tych pomocy znacznie aktywizuje młodzież, zachęca, rozbudza zainteresowania, prowokuje do samodzielnych poszukiwań, a także do samodzielnego posługiwania się aparaturą, politechnizuje nauczanie. Dzieci potrafiły zachwycić wizytujących pedagogów swobodą w posługiwaniu się instrumentami perkusyjnymi już w kilka tygodni od chwili ich dostarczenia szkole.

Wyjątek z reguły

Gutowskiej dzieciarni otworzono realną szansę zdobycia tego samego poziomu co w doskonale wyposażonych szkołach miejskich. Czy przykład Gutowa pokazuje zjawisko powszechne na naszej wsi? Nie, właśnie jest wyjątkiem potwierdzającym regułę. Czy więc na gutowską szkołę spada złoty deszcz? Znowu nie. Złoty deszcz zastąpiło zrozumienie potrzeby zmiany metod nauczania ze strony pary nauczycielskiej, ich inicjatywa i wola znalezienia sprzymierzeńców. I znaleźli ich. Komitet Rodzicielski, Inspektorat Oświaty, Wydział Kultury (te ostatnie obecnie połączone). Wspólny wysiłek przyniósł rezultaty. Rodzice skorzystali dodatkowo, bo przecież wieczorami oni wysiadają przed szkolnym telewizorem. Szkoła zastępuje niestniejącą we wsi świetlicę, klub, dom kultury czy jak to jeszcze można inaczej nazwać. Staje się miejscem codziennych spotkań, okazją do wymiany zdań, wykształca nową rolę wiejskiej szkoły jako ogniska życia kulturalno-oświatowego.

Dlaczego wszyscy nauczyciele nie zapewnią swoim szkołom takich pomocy naukowych? Odpowiedź ktoś, że na szczęście nie wszyscy są tacy aktywni, bo i tak dla wszystkich szkół nie starczyłoby telewizorów ani aparatów filmowych, ani pieniędzy na pokrycie takich wydatków. Nie ma obawy. Zbyt dużo jeszcze w nauczycielskich szeregach konserwatyzmu, a może i wygodnictwa. Zbyt mało natomiast przeświadczenia o pilnej potrzebie zmian w metodach nauczania, o potrzebie zbliżenia szkoły do współczesnego życia. Jeśli by nawet — a nie widać na razie powodu do takich obaw — inicjatywę nauczycielskie przekraczały możliwo-

ści zaspokojenia potrzeb szkół, to i tak nie byłoby się czym martwić. Taki oddolny nacisk na władze, na organizację, na handel może nawet przemysł, bardzo by się przydał.

Brak konsekwencji

Rzecz w tym, że go nie ma, że wielkiej pracy trzeba by doprowadzić do głębokiego zrozumienia przez ogół nauczycieli ich kluczowej roli w zmianach systemu nauczania, w likwidowaniu odbiorczej postawy u młodzieży, którą kształtuje metoda wykładowa, a w kształtowaniu postawy czynnej, samodzielnej. Taka będzie młodzież, jaką ją nauczyciele wychowują. Jeszcze jedno hasło, jakże w tym temacie aktualne.

Bynajmniej nie mam zamiaru winić nauczycieli za ich często konserwatywną postawę wobec unowocześniania metod nauczania. Ostatecznie ich pierwszoplanowym zadan-

Są prawdy jak hasła. „Człowiek największym dobrem”, „Kadry decydują o wszystkim”, „O reformie szkolnej zadecydują nauczyciele”. Truizmy aż banalne od ciągłego powtarzania. Banalne jeśli nie wnikać głębiej w treści, które w sobie kryją. Trzeba je ratować od wyswiechtania, odświeżać.

niem jest uczyć, przyswajając młodzieży wskazany program, a nie łamać sobie głowę nad opracowywaniem nowych form pracy. Tego ich należy nauczyć. Bowiem nauczyciele dzisiaj muszą się także uczyć. Oczywiście w sensie dokształcać, doskonalić metody pracy, unowocześniać wiedzę w poszczególnych przedmiotach, opierać system, który pozwoli zmienić pracę młodzieży w szkole.

Te zagadnienia musi rozwiązać ktoś inny. Na szczeblu wojewódzkim — Okręgowy Ośrodek Metodyczny, placówka Kuratorium. Niestety istnieje dopiero od 1960 r., dopiero się rozkręca. Swego czasu miał swój odpowiednik, tzw. WODKO (Wojewódzki Ośrodek Doskonalenia Kadr Oświatowych), który najpierw obarczone szeregiem czynności czysto administracyjnych, a potem zlikwidowano jako niepotrzebny z oczywistą szkodą dla samej sprawy. OOM istnieje jednak teraz i nawet w ub. r. powołał już swoje odpowiedniki na szczeblu powiatów. Nie ma jeszcze w tej sprawie pełnej konsekwencji, bo trudno zrozumieć dlaczego Ośrodek nie zajmuje się metodą nauczania w niewielu technicznych, natomiast podlegają mu w tej dziedzinie szkoły przysposobienia rolniczego w liczbie 350. Ale i tak dobrze, że Ośrodek istnieje i rozwija się.

Ośrodek ma 31 sekcji specjalistycznych i działa kilkoma formami. A więc w sposób masowy oddziaływanie na konferencjach, hospitacji nauczycieli w miejscu pracy, udziela konsultacji nauczycielom w Ośrodku u poszczególnych kierowników sekcji (ta forma jest najmniej wykorzystywana, co także daje swoiste świadectwo nauczycielom o ich zainteresowaniu nowymi metodami pracy) oraz organizuje kursy wakacyjne. Osobnym odcinkiem pracy są odczyty pedagogiczne, na których nauczyciele przedstawiają swój dorobek, refleksje nad własną pracą, niejednokrotnie pokazanie eksperymentów, ich rezultatów i płynących z tego wniosków.

Potrzeba pomocy

Ośrodek ma już dość duże doświadczenia, nie zawsze wykorzystywane należycie. Np. w budownictwie szkolnym zanotowano tylko jeden wypadek zwrócenia się do Ośrodka o opinie. Chodziło o budowę Technikum Energetycznego dla Konina. Niestety zwrócono się za późno. Technikum będzie budowane na dokumentacji dla liceum ogólnokształcącego (poprzednio tam planowanego). Potrzeby technikum są oczywiście zupełnie inne. Wątpliwe czy liczne uwagi specjalistów Ośrodka będą mogły być teraz uwzględnione. A przecież można było wcześniej o tym pomyśleć. Wprawdzie Ośrodek nie może opiniować projektu każdej nowej szkoły, ale mogłby opracować potrzeby pewnych typów szkół pod względem ich koniecznego wyposażenia. Wtedy zapewne uniknęłyby się takich błędów jak w Szkole — Pomniku Tyśiąclecia im. Dzieci Wrzesińskich, która ma szereg pięknych gabine- tów, ale do zajęć praktycznych tylko niewielką pracownię z wyposażeniem do obróbki drewna, co jest dzisiaj właściwie anachronizmem, bo obróbka innych tworzyw jest znacznie ważniejsza.

Szkoły wiejskie buduje się o wiele oszczędniej, więc jakież tam stają przed nauczycielem problemy? Nie ma więc chyba dziś w budownictwie szkolnym ważniejszej sprawy jak właściwa organizacja, pełna konsultacja przed opracowaniem dokumentacji, właściwe wykonawstwo. Wtedy i koszty mogą być mniejsze, i odpowiednie wyposażenie zachowane. Nauczyciele muszą mieć właściwe pomoce. Bez nich nowe metody nie zdadzą egzaminu.

Można z dużym przekonaniem powiedzieć, że wiele się już w dziedzinie unowocześnienia metod nauczania zmienia, i że o zmianach tych w końcu zadecydują nauczyciele. Jednak nie we wszystkim.

Janusz Biniek

Z soboty na niedzielę

Od dłuższego czasu kinematografia angielska znajduje się w wyjątkowo impasie: to, co stanowi bieżącą produkcję, nie wykazuje na ogół poza poprawność. Najciekawsze stosunkowo są filmy, dotyczące ostatniej wojny; gdy dotychczas o problematykę współczesną, narzekania krytyki angielskiej są jeszcze bardziej uzasadnione niż u nas. Toteż szansę dźwięniejsza kinematografii brytyjskiej widzi się tam w działalności młodych twórców, ludzi bocznych, nieoficjalnego nurtu, którzy stawiają dopiero swe pierwsze kroki.

Dotychczas widzieliśmy dwa filmy z tej serii: „Miejsce na górze” i „Music Hall”, oba mające ambicję niekonwencjonalnego ukazania życia współczesnej Anglii. „Z soboty na niedzielę”, który obecnie wchodzi na ekrany poznańskie, jest trzecim i bezspornie najlepszym filmem angielskiej „nowej fali”. Jak na dzieło debiutanta, zyskał on duży rozgłos i aż cztery nagrody na festiwalu w Mar del Plata w Argentynie w ub. roku, a poprzednio został uznany przez związek brytyjskich krytyków filmowych za najlepszy film roku 1960. Jego reżyser, 37-letni Karel Reisz, z pochodzenia Czech, jest krytykiem filmowym; nakręcił także kilka filmów dokumentalnych.

Bohaterem „Z soboty na niedzielę” jest — co stanowi rewalację nie tylko w kinematografii angielskiej — zwykły, młody robotnik. Również fabuła ogranicza się do ukazania spraw jak najbardziej zwyczajnych, przeciętnych dla tego środowiska: praca w fabryce, dom, wieczorne wdrówki po knajpkach, niedzielne wycieczki na ryby, nieskomplikowane romanse. Tak mało efektowny scenariusz wymagał przede wszystkim skoncentrowania się na wiernej, szczegółowej obserwacji środowiska młodego Seaton. Toteż nie bez przyczyny Reisz wybrał formułę niemal dokumentalną, obiektywną, przypominającą filmy neorealistów włoskich, a zarazem różniącą się od nich starannym unikaniem jakichkolwiek zagęszczeń nastroju i dramatycznych spieć. Wszystko w tym filmie jest chłodne i rzeczowe, przypominające bardziej reportaż, niż film fabularny.

Mieści się w tym i słabość, i siła tego filmu. Słabość — bo części widowni może on wydać się nudny, jako że jest celowo nieefektowny. Siła — gdyż taka właśnie formuła pozwoliła reżyserowi ukazać życie współczesnego robotnika angielskiego w sposób urzekająco prawdziwy, a jednocześnie uwidatniającą szersze, społeczne tego życia podłoże. Mamy tu bowiem od czynienia ze zjawiskiem socjologicznym, tak bardzo charakterystycznym dla społeczeństwa ustabilizowanego.

Arthur Seaton nie jest bowiem bezrobotnym ze „Złotych rowerów”; zarabia nieźle, i — jeżeli się ustali — osiągnie to, co wydawałoby się zwykłym marzeniem dla bohatera filmu de Sici: własne mieszkanie z telewizorem. Ale to będzie wszystko, co może zdobyć w ustalonym porządku społecznym, w jakim żyje. I stąd bierze się bunt młodego Seaton, bunt przeciw szarzyźnie i nudzie swego życia, oraz żałosne próby ubarwienia go — z soboty na niedzielę. Ten chłopak pełen przekory i nieświadomych ambicji nie może pogodzić się z myślą, że w miarę upływu lat, gdy minie wiek górny i chmurny, skapanie i stanie się zwykłym wołem robotniczym, podobnie jak jego kolezdy, którymi pogardza. Nie mając głębszych zainteresowań i nie ufając ugodowemu działaczom, z którymi się spotyka, nie widzi żadnej szansy na to, żeby stać się innym człowiekiem. Tak więc — przy zrozumiałej ograniczonej spojrzenia — film Reisha jest uczciwym, niektłamanym obrazem człowieka i środowiska, które tak rzadko bywa na Zachodzie bohaterem filmu czy powieści.

Kreacja Alberta Finneya w roli Seaton — to już osobna karta. Bez żadnej przesady można zarzykować, iż jest to jedna z najlepszych ról młodszych ostatnich kilku lat. Stworzenie przekonującej postaci zwykłego robotnika jest w ogóle trudnym problemem aktorskim. Finney zagrał go niezwykle oszczędnie, w sposób przemyślany do najmniejszego drobiazgu, przy czym gra tutaj cała, znakomicie podpatrzona sylwetka, pozornie nieciekawa, a zarazem bardzo sugestywna.

Dwaj panowie N

Tadeusz Chmielewski, którego znamy jako twórcę jedynej — po „Skarbie” — dobrej komedii polskiej „Ewa chce spać”, nakręcił tym razem film kryminalno-spiegowski. Film zupełnie przyzwyczajony, posiadający zasadniczą w tym gatunku zaletę: wciąga i interesuje widza. Osobiście wolę, gdy akcja jest prostsza, bardziej „kamelowa”, a więc gdy widz ma swobodniejszą okazję do snucia swoich

własnych koncepcji; w tym filmie fabuła jest może zbyt rozbudowana, ale trzeba przyznać, iż całość jest skonstruowana logicznie i reżysersko „bez pudła”.

Wygląda na to, iż nasz film kryminalny, po odchowaniu „Anatoli” i „Waleńskich”, nabiera całkiem zdrowych rumieńców. Może kiedyś przyjdzie czas również na komedię?

Feliks Fornalczyk

W KALISZU PRZED FESTIWALEM

Teatr kaliski przygotował niedawno dwie premiery polskie: debiut dramatyczny Jarosława Abramowa „Zasada” oraz przyswojoną polszczyzną przez Stanisława Hebanowskiego iragikomedie Fernanda Crommelyncka „Anioł i czar”. Oba spektakle, nie tylko dlatego że są premierami, wzbudziły zainteresowanie krytyków pozakaliskich. Oba też znajdują się na liście propozycji tegorocznych II Kaliskich Spotkań Teatralnych. Sztuka Abramowa, redaktora warszawskiego radia i zarazem syna Igora Neverlygo, ukazała się najpierw jako słuchowisko. Dyrektor Tadeusz Kubalski usłyszał rzecz przez radio i z miejsca zwrócił się do młodego autora z zamówieniem przerobienia słuchowiska na swoją scenę. Autor zamówienie przyjął i tak doszło w Kaliszu do prezentacji scenicznej sztuki. Historia raczej nie praktykowana przez nasze teatry.

Dla odmiany sztuka Crommelyncka ukazała się na scenie kaliskiej w wyniku polecenia Stanisława Hebanowskiego. Kto zna trochę zainteresowanie i gust Hebanowskiego, może mieć jak najlepsze nadzieje o wartości tej kolejnej premiery. Sam Crommelynck jest Belgiem piszącym po francusku, u nas tak jak nieznanym. Do najciekawszych jego sztuk znawcy teatru zaliczają „Snyceza masek”, „Rogacza wspaniałego”, którego wystawił w Moskwie w roku 1922 Wsiewołod Meyerhold, oraz „Anioła i czarta”.

Dowiedziawszy się, że obie te sztuki schodzą z afisza, by usiąść miejsca przedstawieniu „Wesela” Wyspiańskiego, wybrałem się do Kalisza. Ale nie miałem zbyt wiele szczęścia. Z „Zasadą” Abramowa teatr kaliski wyprawił się właśnie tej niedzieli w teren. Moją więc widzieć tylko „Anioła i czarta” Crommelyncka, tyle że było to przedstawienie ostatnie, a faktem — jak wypada z dawnej tradycji teatralnej

— grane jest przez aktorów trochę „na bakier” i z fasonem.

Kiedyś, po warszawskim przedstawieniu innej sztuki Crommelyncka, „Rogacza wspaniałego”, Jan Lorentowicz tak pisał o właściwościach stylu belgijskiego dramaturga:

„Autor nazwał swą sztukę ironicznie farsą, ale ta farsa łamie, jak mówi Stawski, „kości wewnętrzne” w widzu, przerzuca go gwałtownie od czarującego liryzmu dwóch rozkochanych w sobie obłędnie serc do najgłębszego wzruszenia, odrady i przerażenia.”

Ołóż ten sposób odbierania swojej sztuki dyktuje również Crommelynck w „Anioł i czarcie”.

Inna tu co prawda sytuacja: dom jednego safanduly, po pokojach pełnią się pewne swoich miłosnych sukcesów inne safanduly mieszczańskie i pewne siebie, rzeczywiste zwycięskie w swoich małych granicach marzeń, kobiety. Kobiety grają tu istotnie przeciw mężczyznom i oczywiście wygrywają z nimi na całej linii. Nie tylko w tekście, ale i na scenie kaliskiego teatru. Dlatego i mnie wypadnie wspomnieć z uznaniem przede wszystkim kobiety: Kazimierę Starzycką (Leona), Janinę Rzęsę (Ida), Renatę Kress (Julia), Irenę Hajdel (Alix).

Z mężczyzną broni się skutecznie wy-

maganiom równouprawnienia jeden bodaj tylko Kazimierz Hublewski (Burmistrz).

Przeróżające były natomiast głuche pustki na widowni. Użalała się już przedtem na to samo, przy okazji poprzednich przedstawień teatru kaliskiego, „Ziemia Kaliska”. Czytałem, nie dowierzałem. Zwłaszcza po zeszlorocznym zainteresowaniu publiczności miastem Kalisza dla teatru, objawianego przez szereg dni trwania Kaliskich Spotkań Teatralnych. Byłem teraz w Kaliszu, potwierdziły się żale „Ziemi Kaliskiej”, coś się zmieniło przez ten rok.

W publiczności? W teatrze kaliskim? Kto to wie, kto rozstrzygnie.

Rozmawiałem z zastępcą dyrektora teatru, Marcinem Talarą, spakiem, potwierdził spadek frekwencji.

Rzekł, że tak się dzieje na tych przedstawieniach, które teatr uważa za ambitniejsze. Sztuki rozrywkowe mają powodzenie większe. A przecież teatr, po zeszlorocznym pożarze, musiał zrezygnować z prawie dwustu miejsc na widowni. Wyrzucono parę pierwszych rzędów foteli. Wycofano z eksploatacji, przez wzgląd na przepisy przeciwpożarowe, cały drugi balkon.

Na czas trwania festiwalu teatralnego spora część tych ograniczonych miejsc

zostanie przywrócona. Miejmy nadzieję, że tegoroczne Kaliskie Spotkania Teatralne, które odbędą się znowu w maju, obudzą w mieście zainteresowanie dla sztuki teatralnej. Program tych Spotkań już został z grubsza przyjęty. Przewiduje się, że festiwal wypadnie jeszcze okazalej niż przed rokiem. Przybędzie szereg nowych imprez. Przybędą nowe teatry, z nowymi szlakami.

Kalisz czeka znowu wielkie święto. Organizatorzy rozpoczęli intensywniejsze prace przygotowawcze. „Ziemia Kaliska” publikuje już od paru tygodni specjalne, festiwalowe rubryki informacyjne. Do II Spotkań Teatralnych w Kaliszu zaledwie miesiąc. Przeleci jak kometa. Od 2 do 11 maja będzie wieczór w wieczór spotkanie z innym teatrem. Ludzie będą chodzić do pięknego gmachu nad wodą, u wejścia do równie pięknego parku. Wierzę, że będą chodzili.

Przykro by mi tylko było stwierdzić, że po wyjeździe teatrów z innych miast ci sami miłośnicy Melpomeny mieliby zapomnieć o swoim własnym teatrze, o którym coraz głośniejsze w kraju. Nie tylko z racji organizowania ogólnopolskiej imprezy teatralnej, ale i z racji swojej codziennej pracy artystycznej. A myślę, że jeszcze bardziej przykro jest tym, którzy na miejscu pracują w teatrze.

Zatem, Zadni Mieszkańcy 1800-letniego Grodu nad Prosną, okazcie swoje zainteresowanie dla swego teatru nie tylko w dniach zjazdu teatralnego, ale i w dniu codziennym. Festiwal teatralny to nie tylko przeciętne impreza, którą ogląda się z obowiązku czy snobizmu, lecz impreza prosiująca ścieżką stałego porozumienia między Wami a własnym teatrem, pracującym z równą uczciwością i odpowiedzialnością w maju, jak i w każdym innym miesiącu całego sezonu teatralnego.

Studencki margines

Dokończenie ze str. 1

potrafi tam przez swoje zespoły konkurować z teatrami zawodowymi.

Następstwa tego mszczą się na przyszłym fachu z dyplomem. Poloniści, historycy sztuki, muzycy itp. mogliby kierować domami i referatami kultury. Stare kadry już wykuszają się, zapotrzebowanie duże, płaca wcale nieźle. Tak zwany teren w każdym przybywającym do niego inżynierze, lekarzu, filologu, agronomie — widzi potencjalnego działacza, który by ujął młodzież i pokierował jej wolnym czasem; jednak w wielu przypadkach się zawodzi.

Te dwa aspekty podnoszą kulturalny margines życia studenckiego do rangi problemu, który również winien znaleźć swoje rozwiązanie szczególnie w szkołach średnich. Przysłowie: „Czym skorupka za młodu nasiąknie...” wprawdzie jest bardzo stare, ale zawsze jeszcze bardzo aktualne.

JÓZEF PIEPRZYK



Mieczysław Skąpski

Leszka Proroka „Potop odwołany“

Wydaństwo Poznańskie dało czytelnikom pod koniec ub. roku kolejny tom prozy Leszka Proroka, zbiór opowiadań pod tytułem „Potop odwołany”. Prorok jest pisarzem pracującym systematycznie i wytrwale. Od kilku lat corocznie niemal ukazują się na rynku księgarskim tomy jego utworów. Jest też pisarzem o bardzo różnorodnych zainteresowaniach twórczych. Najbardziej sądząc z ilości tomów, upodobał sobie opowiadania; „Potop odwołany” jest czwartym nowelistycznym zbiorem. Ma jednak w swoim dorobku także dwie powieści; jedna z nich, „Wyspiarsze”, otrzymała drugą nagrodę w konkursie „Ossolineum” w 1961 r., sztukę teatralną, graną ostatnio w teatrach zielonogórskim i wrocławskim, a także niemały dorobek w krytyce teatralnej i w szeroko rozumianej publicystyce. Ostatnio rozwija żywioną działalność w poznańskiej Telewizji przedstawiając tam sprawy kultury Poznania i regionu.

Te wszechstronne jak widać zainteresowania znajdują odbicie w ostatnim utworze książkowym Proroka, wspomnianym tomie opowiadań „Potop odwołany”. Tom nie jest jednorodny ani pod względem tematu ani formy. Od szeroko zakrojonego opowiadania pt. „Osaczenie”, zajmującego trzecią część tomu do migawkowych niemal obrazków „Drugiej suity w tonacji moll”, obrazków naszkicowanych na 2-3 kartkach, od narracji w pierwszej osobie (której nawiasem mówiąc autor chyba nieco nadużywa) do pisanja w osobie trzeciej.

Jeszcze większa jest różnorodność tematyki. Prorok sięga do czasów ostatniej wojny i pokazuje wzruszającą, liryczną obrazkę miłości zrodzonej na ponurym obszarze kacetu („Sygnet bez szlachetnego kamienia”). W innym opowiadaniu zaczyna jeszcze o ten sam niejako temat: miłość przerwana wypadkami wojennymi i powojenne, przypadkowe spotkanie byłych kochanków („Reszta jest milczeniem”). Nieczęsto pojawiający się w literaturze temat życia niewidomych znajduje w tomie kilkakrotne odbicie („Jak liść”, „Druga suita w tonacji moll”). Szczególnie wstrząsającą jest długi monolog dawnego минера próbującego sobie samemu udowodnić, że jest człowiekiem pełnym sił, który mimo braku wzroku może nie ustępować zdrowym w pracy, miłości,



Gerard Górnicki — literat

a nawet... sporcie. Zderzenie się dwóch postaw: niedzisiejszej nauczycielki i zachodzącej w ciążę uczennicy pokazuje Prorok w opowiadaniu „Alicja w krainie chmur” (podobne zderzenie pokazuje się jeszcze raz w „Drugiej suicie”).

Okupacja zjawia się ponownie w „Wieczorze wspomnień patriotycznych”, gdzie z kolei ujawniają się dwie skrajnie różne postawy wobec wroga. Zamiłowania autora do teatru i jego ludzi ujawniają się w opowiadaniach „Brankard” i „Potop odwołany”, gdzie świetnie ukazuje to specyficzne środowisko, miotające nim konflikty i uczucia. Za najlepszy utwór tomu uznałbym jednak „Osaczenie”, mistrzowskie studium małżeństwa programowo bezdzietnego, nacisków środowiskowych i światopoglądowych, które zmierzają do wywarcia wpływu na zmianę zgodnej decyzji obojga małżonków, studium procesu załamywania się jednej ze stron i ostatecznej klęski bohaterów. Psychiczny rysunek postaci, szczególnie kobiecych jest tu przejmująco prawdziwy, a język opowiadania szczególnie piękny.

Jeśliby szukać wspólnego mianownika dla całego tomu to zapewne będzie nim szeroko rozumiana problematyka moralna przejawiająca się w rozmaitych wersjach we wszystkich opowiadaniach. Problematyka to trudna, lecz wdzięczna, bo czytelnicy chętnie się w nią zagłębiają. Leszek Prorok ma i drugi ważny atut, którym stosunkowo łatwo może zdołać czytelnika. Jest nim język. Prosty, klarowny, bez jakichkolwiek zawiąsów czy ozdobników stylistycznych, zrozumiały na pewno dla każdego. O takim właśnie chce się powiedzieć: nowoczesny.

Kulisy targowej oferty

Dokończenie ze str. 1

że to często winni są niesłowni producenci.

Efektarze przeliczyli się w końcu. Próba „pokazania się” została obrócona przeciwko nim samym. Wystawnością rozbudził bowiem potrzeby ogółu, które teraz muszą zaspokoić...

Organizatorzy Targów Krajowych czynili wiele starań o zachowanie handlowego charakteru imprezy. Troszczyli się o wyeliminowanie wystawców, którzy nie mają nic do sprzedania. Do dzisiaj pamiętamy „afery” Lubgalu; sprzedał on towary, których — poza wzorami — nie wyprodukował.

Sprowadzenie do Poznania Wystawy - Targów Wzornictwa umożliwiło wreszcie stworzenie jasnego pojęcia między luźną propozycją przemysłu w postaci nowego wzornictwa, a konkretną ofertą sprzedaży. W ramach tej nowej imprezy powinny się jednak znaleźć w przyszłości „czyste” wśród eksponatów. A także — wśród wystawców. Niesolidny niegdyś Lubgal ma przecież nowych następców.

ZBILUT SEK

Eugeniusz Pauksza

Serie bibliofilskie

Kompletowanie serii wydawniczych staje się zjawiskiem coraz bardziej powszechnym. Oficyny wydawnicze odpowiadają na nie nie tylko kontynuacją dawnych serii, ale i edycją coraz to nowych.

Zacznijmy od „Czytelnika”. W rozbudowywanej miniaturowej serii „Nike” ukazały się „DROGA OKRĘŻNA I INNE OPOWIADANIA” Vercorsa, autora, którego twórczość wywarła wielki wpływ na prozę współczesną, w Polsce zaś znalazła entuzjastów, pasjonujących się wydanymi już uprzednio pozycjami: „Oczy i światło”, „Milczenie morza” oraz „Zwierzęta nie-zwierzęta”. Opowiadania, sugestywne w tematyce i pasjonujące stawianymi w nich problemami moralnymi, znajdują, jak i poprzednie tomy Vercorsa, przysięgłych zwolenników. Wyrazić należy radość, że „Czytelnik” zdecydował się wydać w swej „Poetyckiej serii” wybór „POEZJI I SATYR” Światopółki Karpińskiego, jednego z najciekawszych, pełnych pasji poetów dwudziestolecia. Bardzo intymny, liryczny wstęp Jarosława Iwaszkiewicza wprowadza dobrze w świat liryki Karpińskiego. Zbyt mało jednak

100-ą rocznicę urodzin, opublikowano relację Fridtjofa Nansena z jego wypraw polarnych p. t. „DO BIEGUNA”.

W świetnie prowadzonej przez „Wiedzę Powszechną” serii „Biblioteka przygód i podróży”, otrzymałmy ostatnio książkę Wandy Gall p. t. „JAPONIA, KRAJ KONTRASTÓW”, próbę przedstawienia dzisiejszego dnia tego wciąż nieznanego nam kraju, gdzie dawne tradycje i obyczaje łączą się z fascynującym rozwojem techniki. Lekturę książki ki Wandy Gall warto połączyć z emocjonowaniem się bliskotliwym, doskonałym reportażem Lucjana Wolanowskiego „ZWIERCIADŁO BOGINI”, opublikowanym w „Czytelniku”.

W inną przeszłość powiedzie nas nowa pozycja PWN z serii prac o dawnych kulturach, mianowicie tom „OD FANAGORII DO APOLLONII”, opracowany przez Marię Nowicką i Ludwika Press, ukazujący w przystępny ale pasjonujący sposób dzieje antycznych miast nad Morzem Czarnym.

„Ossolineum” systematycznie publikuje coraz to nowe teksty w swej popularnonaukowej serii „Książki o książce”. Po niedawno wydanej niesłychanie potrzebnej

wyjaśniającej pracy A. Wyczańskiego pt. „MIKROFILM — NOWA POSTAC KSIĄŻKI”, stanowiącej wprowadzenie w sedno tej rewolucji bibliotekarskiej, otrzymaliśmy teraz świetnie napisane dzieło Józefa Bielawskiego „KSIĄŻKA W ŚWIECIE ISLAMU”, od Muhammeda po dzień dzisiejszy, ukazujące skrót wiedzy o języku, piśmie, kaligrafii arabsko-muzułmańskiej, miniaturze, opracach orientalnych, aż po obraz dzisiejszego świata Islamu i przegląd jego bibliotek.

Teraz rarytas, choć tu nigdy nie ma pewności, czy uda się dany tomik „złapać” jeszcze w księgarni, gdyż sprzedawane są na gorąco. Myślę o popularnej serii poetyckiej PIW-u, tej „celofanowej”. Ukazały się trzy nowe tomiki. Pierwszy to „LIRYKA” Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, w wyborze i ze wstępem A. Międzyrzeckiego. Kolejną pozycją są „POEZJE WYBRANE” Egiptu Czarenka, ukazujące nieznaną nam świat poetycki Armenii, w wyborze A. Mandaliana. Stwierdzeniem Adama Ważyka, w przekładach jego i Julii Hartwig otrzymaliśmy też „POEZJE” Blaise Cendrarsa, wybitnego przedstawiciela pierwszej awangardy poetyckiej we Francji.



Nie od razu Konin zbudowano...

...to tytuł artykułu Michała Olkiewicza w Tygodniku Demokratycznym. Autor zaczyna swe rozważania od tego, że Konin ma dwa oblicza: stare i nowe. Ale te sprawy są raczej znane naszym Czytelnikom. Bardziej zainteresują ich inne stwierdzenia:

„Wydawałoby się, że odkad przeprowadzono publiczną analizę rachunku błędów i sukcesów pojęzionych przy budowie krajowego wydobycia tego surowca. Za pięć lat w zagłębiu konińskim pracować będą w oparciu o węgiel brunatny trzy wielkie elektrownie, dysponujące łączną mocą 2 tys. megawatów. Rangę (...) podniesie jeszcze (...) budowana tu huta aluminium”.

To są blaski, ale nie brak też cieni:

„Tempo inwestycji związanych z rozwojem zaplecza nie nadąża za rozwojem przemysłu (...) W całym powiecie konińskim nie buduje się ani za złotówkę nowych szkół; nie realizuje się inwestycji szkolnych przewidzianych w planie 5-letnim... Szkoła podstawowa w nowym Koninie jest chyba najdłuższą pracującą szkołą w Polsce: jest czynna od godziny 8 rano do 22 wieczorem (...) Jeszcze grzej przedstawia się sprawa szkolnictwa zawodowego: młodzież kończąca zasadniczą szkołę górniczą, nie może się dalej kształcić, gdyż brak techn-

nikum górniczego dla młodzieży. (O tych sprawach pisaliśmy w „Głosie” kilkakrotnie — ostatnio 29 marca br. w artykule Wacława Rogalewskiego pt. Skąd kadry dla Konina? — dop. LEKTORA). Za dwa lata huta aluminium będzie porzebowała około 200 techników. Za cztery lata (...) ilość pracowników z wyższym i średnim wykształceniem technicznym ma wynieść dwa tysiące”.

Dalej autor pisze o niewesołej sytuacji w dziedzinie kultury. (Jedna sala kinowa w starym Koninie i jedna w prowizorycznym baraku). W tyle za inwestycjami przemysłowymi pozostaje też służba zdrowia. Zdaniem Olkiewicza wowszyskie te potrzeby warunkują prawidłowe rozwoju nowego ośrodka przemysłowego, co przede wszystkim zależy od władz wojewódzkich w Poznaniu i ministerialnych ośrodków dyspozycyjnych w Warszawie.

Trudno odmówić słuszności autorowi artykułu. Wszystkie poruszone przez niego problemy znane są bardzo dobrze naszym władzom, które robią wszystko, aby te nieprawidłowości usunąć. Problem polega na tym, że znacznie łatwiej o kredyty na inwestycje przemysłowe niż środki na inwestycje kulturalne, oświatowe i socjalne. To jest zjawisko na pewno niedobre.

Tragedia „Konopnickiej“

W ostatnim numerze Polityki Zygmunt Szeliga zamieścił reportaż o tragicznym pożarze, który 13 grudnia 1961 r. wybuchł na gołowym już niemal stółku „Konopnicka” w Słocznicy Gdańskiej. Autor ogranicza się do relacji suchych faktów z kilku wybranych dni, poprzedzających tragiczną w śmych skutkach katastrofę. Te fakty ujawniają karygodne niedbalstwo ludzi odpowiedzialnych za organizację pracy i za przestrzeganie przepisów bhp. Bezpośrednią przyczyną pożaru było spawanie rurociągu, przez który tragicznym zbiegiem okoliczności popłynęła ropa. Rurociąg łączył się ze zbiornikami zawierającymi 200 tysięcy litrów ropy. Ludzie pracujący w chwili katastrofy w maszynowni stółku nie znali wyjść awaryjnych. Grozę ich położenia spotęgowały ciemności (stała się awaria wyładowań energii elektrycznej, a

nie było światła awaryjnych!). Zginęło w płomieniach 21 ludzi. Straty materialne wyniosły 43 mln. zł (wartość całego stółku — 160 mln. zł).

„Mógłbym powiedzieć — pisze autor — że fakty nie wymagają komentarzy, są bezdyskusyjne i obiektywne. Nieodparcie jednak nasuwa się pytanie: jak mogło dojść do takich faktów, dlaczego grupa odpowiedzialnych pracowników Słoczni Gdańskiej dopuściła się tak karygodnych i rażących zaniedbań, takiego lekceważenia podstawowych zasad bezpieczeństwa pracy, obowiązujących przepisów i instrukcji, lekceważenia ludzkiego życia? Spróbuję odpowiedzieć na te pytania w następnym artykule”. (Omówimy ten artykuł na łamach „Głosu” — dop. red.).

Tydzień temu zamieściliśmy w „Głosie Tygodnia” artykuł pt. „Życie i zdrowie dobro najwyższe” alarmujący właśnie nienajlepszy stan bhp w wielu zakładach pracy. Niech tragedia w Słocznicy Gdańskiej będzie jeszcze jednym alarmującym ostrzeżeniem przed lekceważeniem tych podstawowych przepisów.

Dziennik instruktora KW

W tym samym numerze Polityki opublikowano fragmenty z dziennika instruktora KW PZPR w Poznaniu — Feliksa Siemankowskiego. Autor dziennika od roku 1946 po dzień dzisiejszy jest pracownikiem poznańskiego KW Partii. Publikowane wyjątki pochodzą z roku 1946. Pasjonująca lektura!

„23 czerwca 1946 r. Zebrania już są coraz śmielsze. Nie tylko agitatorzy wyjaśniają wątpliwości, polemizują z reakcyjnymi poglądami, ale sami mieszkający włączają się do dyskusji, chociaż nie raz ma ona charakter bardzo uproszczony, np.: „z czerwonymi daleko bardziej zjedziemy” mówi jeden z chłopów, wtem inni odzywają się: „Macieju, diabeł nie jest taki straszny, jak go malują”. Nie notuję wszystkich wypowiedzi, bo jest ich ogromna moc. Nieraz bardzo prostych, a jak bliskich sercu, bliskich członkowi PPR. Różnie kończą się zebrania, jedne odśpiewaniem „Jeszcze Polska nie zginęła”, inne słowem: „Wolność”, trzecie odśpiewaniem „Roty”, jeszcze inne „Cześć Ojczyźnie”

czy też odśpiewaniem „Boże coś Polskę”. Na jednym z zebrania, w którym uczestniczyłem, witano i żegnano „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Zebranie to było ciekawe, demokratyczne, rozsądne w dyskusji. Byli tylko parcelanci, dziękowali partii za ziemię. Chwała Chrystusa, dziękują partii, ale to nie szkodzi demokracji, to nie wywoła rewolucji w powiecie wągrowieckim”.

Autor dziennika opisuje głównie przemiany, które się wówczas dokonywały na wsi. Ten dokument jest wiernym odzwierciedleniem trudów ówczesnego aktywisty partyjnego.

I. Kotarbińskiego — powiedzonka

Jubileuszowy 500-y numer Przeglądu Kulturalnego” całą kolumnę poświęca powiedzonkom prezesa Polskiej Akademii Nauk Tadeusza Kotarbińskiego. Oto niektóre z nich:

Grubas jest to człowiek, który zabiera zbyt dużo miejsca nie tylko bliźnim, lecz i sobie.

Wygrywa się zazwyczaj nie dzięki własnej dobrej grze, lecz dzięki błędom przeciwnika.

Rzadzić samowładczo można tylko wespół z innymi.

Łatwo jest mówić, gdy ma się coś do powiedzenia, ale trudno jest mieć coś do powiedzenia, gdy trzeba mówić.

Nie dlatego najsmutniejszy jest zgon, że wraz z nim wszystko się kończy, lecz dlatego że po nim nie się nie zaczyna.

Mniej jest osamotniony mistrz bez pomocnika, niż pomocnik bez mistrza.

Antytezą miłości nie zawsze jest nienawiść; bywa nią inna miłość.

Pamiętajmy, że Polska pośród narodów jest dużą myszą, nie małym słoniem.

Filozofia przystosowana do chwili staje się chwilozofią.

Porządek trzeba robić, nieporządek robi się sam.

LEKTOR